ROZMAITOŚCI.

Dnia 25. Stycznia N^er^ 4. Roku 1854.

STRUGA

czyli

co to sobie lasy opowiadają.

Przed miesiącem zapowiedziała jodła jeszcze jakąś powiastkę drzewom; *) ostatnie jéj słowa wiatry rozwiały, a na las spadła głęboka cisza. Jakiś tylko szeplot gwarliwy mącił poważną uroczystość. To zegar leśny — struga, co w dorywczych tętnach szemrzy po głazach i progach, i w odstrzałkach jarzy kropelki do słońca w miejscach gdzie promień zachodzi, a w cieniach w zwierciedle swojém potrzęsa obrazem drzew rozłożystych i daléj mruczy, aż nieznacznie ton jednostajny przeistaczać się zaczyna w wydatne słowa, i splatać jak od niechcenia w powiastkę.

Drzewa i kwiaty w przysłuchy, i jeszcze uroczystsza osiada cichość nad lasem, sama tylko struga rozwodzi się na lewo i w prawo. To Cisza leśna! Kto jéj nie zna? kto jéj nie witał jak kwiatek niedzielny? W około wszędzie tak głucho, tak uroczo; sam źwierz wtedy wstrzymuje oddech i nie rusza się, a myśliwca przejmuje coś nakształt grozy świętéj a lubéj że zapomina swéj myśli, legnie w trawę i rozkoszuje w chwilach spoczynku całego lasu. To pora w któréj struga drzewom i kwiatom opowiada bajki — to cisza wiatru.

I struga opowiadała:

Czy wiecie zkąd ja rodem? zkąd pochodzę, czy wam wiadomo? O polnym potoku wie każdy; wytryskuje z studzienki nad pagórkiem i po kamuszkach sączy się coraz okazaléj i szerzéj, wymywa z nadbrzeżnéj sukienki kwiaty co się do niego milą, w dali opina się przepaską z szuwaru i trzciny wysmukłéj. O strumieniu wiedzą także wszyscy zkąd pochodzi. Na górach obwisły śniegi — rodzimy zawój górski — co się rumienią do słońca zachodu i wschodu, obłoki przechodząc zdobią je w przedziwne opony, a obok w zaklęsach sklnią się kólce niebieskie, — lody. Znadworu patrząc wygląda wszystko jakoby z kamienia, ale wewnątrz-to, wewnątrz życie! płynie, toczy się i wytryskuje w krople wodniste co wyglądają z za szczelin i kryją się jakby w mróżka igrały, bo Bóg słońca całuje wiekami wierzchołki góry. Ta stała miłość rozrze-

*) Ob. N. 237 G. l. z 1853.

wnia jéj serce strętwiałe, i te kropelki są-to dziateczki z jego pocałowania; krząta-to się i swawoli, aż im za ciasno w domu, i wybiegują za ścianę. Ale gdy na świat wystąpią, zastrasza ich widok, stają nad przestrzenią zdumione, gdy tymczasem nalegają inne wodniki, ciekawe co tam na dworze, i wysuwają się jak kukawki, z początku zwolna, lękliwie, potem żwawiéj i chyżéj, w dali lotniéj strumykiem zeskakują z skały na skałę jak kózka dzika która się także w sąsiedztwie rodziła. Tu pieni się w puch jak śnieg bielutki na górach, tam sklni się zwierciadłem jak lody nad niemi, aż zestąpi w dolinę i spokojniejszy między łąkami się rozpatruje.

Ale zkąd ja? ja struga leśna. Niéma u mnie źródełka zkąd powstawałam, nie śniegi nie lody mnie zrodziły. Biegnijcie za żłobkiem łoża mego, już wam się widzieć będzie, tu ja powstaję, i chwytacie za kopiec mchu albo za kamień, a źródła niéma; źródło gdzieś daléj za rozkrzewistym korzeniem pieńka z was szydzi. Wy daléj za nim, i nowe dziwo! zastajecie mnie samą w kształcie zwierciadła w ramach ze ziół i kwiatów, i znowu gdzieś znikam popod ryń i kamienie zawistna zielonéj narośli po ich węzgłowiach; w opodal nanowo występuję i skraplam się w smugę. Nie znajdziecie źródła mego, to jest zagadka leśna. Więc posłuchajcie jak powstałam.

Raz na tym jasnym obłoczku co się ponad łąki przesuwał, siedziała Sylwanka, ulubienica królowéj Tytanii, i układała klejnoty swéj Monarchini. Wyjęła z puszki długi, długi sznur kosztownych pereł, dawny upominek po Oceanie, ach jak on piękny! mówiła do siebie, schować go muszę bo mi mówiła pani: „To mój strój najulubieńszy, szanuj go; są to łzy morza, które nie wypłakuje, lecz tai w bezdenniach swoich, póki je zuchwalstwo ludzi nie wypleni. Stężały teraz i stwardniały, ale z pod ich bladawego połysku przegląda jeszcze zbolałe oko. „Prawda!“ mówiła służebna przesuwając perełki ze drżeniem rozkoszy, jak one żałośnie patrzą, radabym byście spojźrzały weseléj, i chwyciła za kólczyk podnosząc sznurek w górę ku słońcu by się opromieniły jego światłością. Ale perła nie dyament który odblaskiem światła z nadworu żyje; łza morska kryje się w duszy i z wewnątrz tylko świetnieje.

Za Sylwanką zaczajał się swawolny Gnom, znany psotnik górski co lubi drażnić się z ludźmi i Sylwanami; i w chwili kiedy Sylwanka podniosła perły, podsunął się z cicha, przeciął sznurek, a perły rozsypały się po obłokach, a z obłoków po ziemi. Na widok co się stało, mało nie zginęła nieszczęsna, zrywa się przerażona, i zsuwa z obłoków ku ziemi, i zpopod niebios widzi że jéj srebrzyste perełki roztrzęsły się na wszystkie strony po niedostępnych schowkach na ziemi. Więc też bez nadziei by się pozbierać dały, już chciała w żałości wracać, gdy w tém pod stopami powietrza ujźrzy zieloną łąkę, jak na jéj trawkach i kwiatach tysiącami błyszczą perełki które miała za stracone. I w radości rzuca się na nie, zbiéra z pospiechem,

i już się puszka przepełnia niemi, gdy dopiéro postrzega że to nie perły, nie łzy morza zbiérała, ale rosę — łzę kwiatów, i smutna idzie daléj odszukiwać straty. Gorliwéj słudze Bóg szczęściem płuży, i stroskana Sylwanka dopatruje pereł wiszących u oka matki nachylonéj nad dzieckiem umierającém; zebrała je, tu perły żalu, tam perły miłości, a czém daléj i daléj! podsuwały się coraz płaczące oczy, łez tyle że przelewała się puszka. Ach ileż-to łez przeleją oczy na ziemi! bo z ócz człowieka wytryska cudowny potoczek; a źródełko jego, powiem wam, jest serce; byle zapukała boleść, żałość, tęschnota, skrucha, chwilami i radość, już i potoczek płynie. A potoczek ten musi czarowną wywiérać władzę, bo twardém byłoby serce, które nie wzruszy się łzami cudzemi. Często chciałoby się ludziom na widok łez cudzych zastawić rozumem, i przymawiają rozrzewnionemu sercu: cicho! cicho! wszak one łzy słusznie płyną bo przewinione. Ale to nie jest prawda; łza łzą, dobra czy zła, płynie zawsze od serca, tylko że tu mocniéj tam słabiéj pukano.

Sylwance się wydało że pozbiérała rozsypane perełki, przymknęła wieczko, ścisnęła puszkę pod pachą, i uniosła się w obłoki. Ach! puszka zaczęła ciężyć, i coraz ciężyć, bo łzy nie mało ważą; a jak na miejscu zaglądnęła do nich, pokazało się że wszystkie te perły się rozpłynęły. I znowu biedna w narzekaniach od obłoku do obłoku żaliła się przed niemi. Litościwe obłoki wyprawiają swe deszcze na ziemię, ażeby zguby szukały. Lunęły potokami, że aż drzewa i rośliny się ponachylały, zmyły rosę, ale pereł ronionych nie znalazły.

Gnom swawolnik patrzał na to, patrzał na boleść Sylwanki, i żal mu się zrobiło bo w duszy nie był złośliwy, z pustoty tylko lubił się drażnić ale nie chciał serca martwić; lecz że w przemysły płodny, spieszy do swoich braci, zanurza się w podziomy górskie, nabiéra błyszczących kruśców, świecidełek barwistych i przynosi Sylwance. Masz tu swoje zabawki a świetlejsze niż były, powiedział.

Odżyła w Sylwance pociecha, a obłoki wstrzymały deszcze. Cóż! kiedy jak się przypatrzyła darom Gnoma, pokazało się że to same czcze były błyskotki, i z gniewem porwała te proszki błyszczące z czarką, rzuciła na wiatr że się rozwiały łukiem po całym okręgu świata. A z tego pojawiła się piérwsza Tęcza, którą Gnom tak polubił, że odtąd ilekroć obłoki płaczą, wynosi swoją purchawkę i świecidełkami bawi się w tęczę. Piękna jest tęcza, niéma co mówić, i nas bawi jéj wstęga, ludzie się cieszą kiedy ją widzą, ale jest zwodnicza bo darem pustoty, nic innego; doświadczyli tego już ludzie nieraz; gdy się pokaże, biegną do tęczy, tęcza ucieka, sunie i chowa się. Gdzie się podziała? W wodę wpada, mówią dzieci, a Syreny robią z niéj stroje dla siebie. — Tak tedy, co się stało na początku tylko z przypadku, to Gnom teraz ponawia z umysłu; zbiéra błyskotki swoje, wzlatuje i pod niebiosa roztrzęsa, a co mu zostanie, z tego buduje drugi łuczek

mniejszy przy wielkiéj tęczy. Dlatego widujecie często podwójną wstęgę na niebie, lecz zawsze tylko wtedy kiedy obłoki opłakują strapienie Sylwanki, a Gnom że się drażnił, chciałby ją sam pocieszyć.

W żalach po stracie pociecha trudna, ciągłe smutki otulały Sylwankę w obłoku, i piérwsza tęcza ją nie cieszyła mimo że z jéj rąk powstała. W tém przybywa Tytania, i chociaż zawsze wymyślna, w téj chwili czegoś bardzo była wesoła; więc też gdy służebna opowiedziała swoje zgryzoty, uśmiechła się i wkrótce przebaczyła. Nawet ją strata nie tyle obeszła, może dlatego że jeden z zalotnych duchów morza przyrzekł jéj nowe klejnoty z pereł, ale na prawdę że to możni są szczodrzy nawet i w łzy które im się powierza. Lecz co było z tém robić co ciężyło w puszcze a Sylwanka trzymała.

Spiesz na dół w moje lasy, mówi Tytania, i gdzie znajdziesz najtajemniejszą swobódkę, wyléj te krople między pachniące ziółka, niech pozostaną łzami jak są, ale gronem niech płyną jak — jedna łza lasu.

Posłuszne dziécię wykonało rozkazy królowéj, i tak wypłynęła piérwsza struga, lasy uroniły łzę swoją. Wiecież teraz zkąd ja powstałam? Jak u łez człowieka tak i u mnie źródłem jest serce, tajemne serce lasu, z którego łza wypływa gdy doń żałość, tęschnota, boleść zapuka. Latem, kiedy niejedno dziécię lasu zniszczone i stratowane, płynę zwolna a nieustannie; jesienią, gdy się wszystko z nami rozstało, opłakuję w żałobnéj cichości zgon kwiecia i liścia, któremi wiatr często zasypuje łóżeczko moje ażeby im także usłać grobek z żalów i ze strapienia; a w spustoszałéj samotności zimy trętwieję, łza lasu staje się perłą jak tajona zgryzota w morzu, i wieszam się po odszczepach u stóp drzewa, po kamieniach, oczko zapłakane w bladawym połysku. Ale z wiosną, kiedy stajały tęschnoty w sercu, wtedy rozpływa się łza lasu rzewnie, ja się wznoszę radośnie, i roztaczam za krawędzie łoża mego ażeby pozdrowić kwiaty i trawy ile można najdalsze. Często także współczucie mię unosi, bo gdy obłoki deszcz wypłukują, a kwiaty rosę, wtedy i struga nabrzmiewa. Pojmujecież teraz z tego jaką jestem, że mojém źródłem jest serce lasu bo też prawdziwie tchnę serdecznością ku wam; zato posępna trzcina tłoczy się do mnie; czuła niezabudka wybiega którędy płynę, i patrzy na mnie modrem okiem a szczerem jak dziewczę w chwili rozstania. płacząca wierzba w swym wiecznym smutku zwiesza do mnie gałązki i całuje ciałko moje; wszędzie za mną rośnie spółczucie, sam nawet kamień, kiedy mnie spotyka, nieugięty kamień którego ani czas nie trawi, sam płacze za mną łzą jasną, kiedy go się mą falą dotknę, i to jest jedno pocałowanie któremu on się oprzeć nie może; ja też kocham kamienie.

Opowiadają sobie ludzie dziwną jednę a smutną powiastkę o jakimś człowieku który przeżył wszystkich, a śmierć przed nim ucieka. Na pamięci mam kamień, to Ahaswer leśny, a mógłby wam nie

jedno powiedziéć, bo pamięć jego sięga czasów niepamiętnych nikomu. *)

Gnom zazdrościł strudze, chciał ją mamidłami ozłocić, ale struga pamiętna rodu, przecie dostąpiła znakomitości wieczystéj. Nie raz z pustoty rzuca mi pod nogi albo odnoże przepróchniałego drzewa, albo schrópiasty kamień, aż mi się krople popłoszą, w górę skaczą i roztrzęsają w strzępy. Przypatrujcie się, ujrzycie wtedy jak barwiste kolory podobne tęczom obsiadają mię w kabłąk; a to są mamidła Gnoma które wywiesza w złotawéj tkance nademną, jakby mówił: „alboż moje dary nie są świetniejsze?“ Nikłe to wszystko co on wydaje, ulata marą, a ja płynę jak'em płynęła. Otóż-to tak wciska się psota i śmieszność zawsze w pobliże tego co jest żałosném i rzewném, jak gdyby swawolnik jakiś się naigrawał. Samo nawet serce człowieka chociaż będzie w ostatniém strapieniu, często trunie śmiesznością, w około twarzy zalanéj płaczem nieraz parsknie kréska uśmiechu, jakoż gdzie najściślejsza harmonia natury, częstokroć tam bywa jakieś dziwaczne skrzywienie. Często na przepysznéj łące, albo znad liścia bujnego po drzewach wystaje jakaś niedorośl krzewista albo uschła gałąź; śród zdrowych i pełnych róż naraz szczerzy się zwiędniała, jak gdyby się siostrom chciała przedrzyźniać. A to wszystko Gnom robi; lecz kto ma duszę, umie to wszystko pogodzić.

Na tém stanęła struga. Cisza trwała jeszcze, tylko coś między sobą szeptały listki i kwiatki. W tém nagle coś zatrzeszczało; z trzaskiem urywa się sucha gałąź na dębie i spada aż liść pod nią trętwieje, struga się z łoża zerwała i krople do góry prysły. Chwila — a znowu wszystko ucichło.

A to także była swawola Gnoma.

*) Ahaswer, szkólnik, mówi legenda, odmówił z urągowiskiem Chrystusowi kubka wody o którą prosił niosąc krzyż na Kalwaryę. Za Zbawicielem stanął Anioł i mówi do Ahaswera: „nie dałeś odetchnąć synowi człowieczemu, nie będzie odpoczynku i tobie; włóczyć się będziesz i włóczyć, aż przyjdzie ten którego zapoznałeś boleści.“ — I to jest Żyd wieczny.

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Dorota.

Żeś ty dobrym, chętnie wierzę,
Ale wprzód mi wyznaj szczerze:
Co na naszym pustym brzegu
Zatrzymało ciebie w biegu?
Kto rzuca swoją ojczyznę,
Przepływa morza głębiznę,
Ten ma w ciągu swego życia
Jeszcze dużo do przebycia.
I czas może nie daleki

W którym będziesz przymuszony
Porzucić nasz brzeg na wieki,
I odjechać w inne strony.

Walter.

Kiedy już ratunku niéma,
Wszystko ci wyznam w sekrecie,
Co mnie ztąd pędzi i trzyma: —
Daleko ztąd, w nowym świecie
Chowałem się szczęsny, mały,
Pośród przepysznych plantacyi
I platanów i akacyi,
Co piękny dom otaczały.
W krajn, gdzie owoców brzemię
Zgina gałąź aż na ziemię.
Dzieciństwa mego godzina
Przeminęła tak szczęśliwie;
Jako jedynego syna
Wychowano mnie troskliwie. —
Gdy w dnin jednym niespodzianie
Zrobił mi ojciec odkrycia
Z dawniejszego swego życia,
I uczynił mi wyznanie,
Iż na mych rodzicach cięży
Z dawnych czasów grzechów wiele,
Iż się gryzą dawnym czynem;
Bo błogosławieństwo księży
Nie złączyło ich w kościele,
A ja ich nie jestem synem.

Dorota.

Nie ich synem — co za zmiana?

Walter.

Jaka tylko w świecie dana
Ojcu nad synem opieka,
Mój ojciec wypełniał święcie
I kochal mnie nad pojecie;
Aby się moja powieka
Nie zalała łzą przykrości,
Sobie odmawiał radości.

(Słychać strzał w dali).

Dorota.

Słyszysz! znowu padł strzał w dali!

Walter.

Nie, to tylko odgłos fali
Który się łamie o skały,
Nie zważaj na morskie wały.

Dorota.

Wierz mi, chętnie słucham ciebie, —
A matka?

Walter.

O Boże w niebie!
Pocóż nasuwać wspomnienie
Które dręczy jéj sumienie;
Matka mnie w małżeństwie miała
Z innym, lecz mu ślub złamała; —
By złagodzić jéj przewiny
I wrócić pokój żądany,
Z dalekiéj będąc krainy
Przybyłem w ten kraj nie znany.
Tu mi ojca znaleźć trzeba,
Abym mu do nóg rzucony
Błagał dla niéj w imię nieba
Przebaczenia. *(Słychać arfę).* Jakieś tony?

Dorota.

To odbite od sklepienia
Słychać mego stryja pienia,
Któremi swéj arfie wtórzy.

Walter.

Lube tony, wasze echa
Przy téj żywiołów rozterce
Łagodzą tak wycie burzy,
Jak gdy nie znana pociecha
Odwidzi zbolałe serce.
Dobrotliwy w niebie Boże!
Dozwól żal méj matki skrócić
I najspieszniéj jak być może,
Ojca mego jéj powrócić.

Dorota.

Szukając ojca po świecie
Czy znalazłeś go już przecie?

Walter.

O, niezawstydzaj sumienia
Syna, co bezczynnie bawił
W pobliżu waszéj strażnicy.
Kiedy mnie w obcéj ziemicy
W pośród matki łez strumienia,
Ojciec w drogę błogosławił;
A ja odbiłem od brzegu;
Wtenczas nieznana tęsknica
Popychała mię do biegu;
Gdy niebieskie wybrzeż lica

Już znikły w dali za nami,
Wówczas życzeniom z myślami
Wolne popuściwszy wodze
Myślałem, na waszéj błoni
Słońce nie tak piecze srodze;
W Europie kwiat mocniéj woni
A postacie lube drogie,
Co zsyłają sny me błogie,
Co przed sennym nęcąc stają
A na jawie okrążają,
Nazwę po własném imieniu
Bo tu żyją bez wątpienia.

Dorota.

I ja nie raz w zachwyceniu,
Czułam podobne marzenia.

Walter.

I wołałem na wiatr w górze
By dał w żagiel całą siłą,
Ale on nam zesłał burzę
I omal po nas nie było;
Bo jak gdyby chwycon w szpony
Został okręt osadzony
Na środku sterczącéj skały.
Już się w niego wody pchały,
Ztrzaskany piorunu grotem
Wielki maszt upadł z łoskotem,
Każdy krzyczy: „okręt tonie!"
Ani myśléć o obronie!
W coraz-to większym nieładzie,
Ja sam stojąc na pokładzie
Z nadzieją patrzał w noc ciemną;
A jak gwiazdeczka na niebie
Świeciła zdala przedemną
Wasza strażnica w potrzebie;
I powziąłem przekonanie,
Iż się dostaniem bez szkody
Na ląd stały — a zaranie
Już słabo złociło wody,
Które nas pochłonąć miały;
Kiedy oto niespodzianie
Płynie do nas żagiel mały
I ty na nim stałaś w bieli,
Jak królowa tych topieli,
A w obec twéj przytomności
Ucichły żywioły w złości.

Dorota.

Za to Bogu złóżmy dzięki;
Lecz ta pomoc nie z méj ręki,
Która słabéj jest natury,
Przyszła ci, lecz była z góry.

Walter.

O, tak z góry — Tyś to była
Tym aniołem co Bóg zsyła
Ludziom w pomoc gdy potrzeba;
Z twoich oczu, z twego czoła,
Świecił wtenczas ogień nieba
Któren mnie przejął do koła.
Co w dziecinném lat marzeniu
Widziałem w snach méj młodości
Wszystko przy ciebie ujźrzeniu,
Znalazłem w rzeczywistości
I tak się dawne przeczucie
Ziściło w jednéj minucie,
Iż nie masz szczęścia na świecie
Jeśli się serca nie znają,
Nie znajdą i nie kochają.

Dorota.

Nie znajdą i nie kochają.

Walter.

A ja cię znalazłem przecie
Na tych krańcach morza brzegu;
W téj okropnéj życia chwili,
Kiedy się śmierć w człeku sili,
Bicie serca wstrzymać w biegu.
Ty przez swoje dzielne męztwo
Odniosłaś nad nią zwycięztwo;
A kończąc dzieło radośne
Wróciłaś mi życia wiosnę.
Lecz po ukończoném dziele,
Żadnaż wyższa niebios siła,
Co mnie przykuła do ciebie;
Twemu sercu nie mówiła,
Iż ty mój drogi aniele
W owéj okropnéj potrzebie
Ratowałaś mnie dla siebie!

Dorota.

Nie dla siebie — Wszak do matki
Która po was w żalu tonie,
Twojego życia ostatki
Należą — wszak w obcéj stronie

Ojciec czeka opuszczony,
Z tęsknotą na twe przybycie?
Im więc nie mnie należycie.

Walter.

Odpychasz więc mnie w téj dobie,
Bo dla ciebie to zagadką,
Iż moja miłość ku tobie
Ma związek z mym ojcem, z matką; —
Nie raz ma pierś z trwogi drżała,
Czy małżonek urażony
Da się przebłagać dla żony?
Lecz odkąd obraz miłości
Zwycięzko w mém sercu gości,
Ta trwoga całkiem ustała;
Wszakże i on kochał szczerze,
A serce co zna kochanie,
Nigdy głuchem nie zostanie
Na jego głos, bo w téj mierze
Miłość doda prożbie mocy;
A za jego męki znoje,
Za bezsenne w smutku nocy
Przyniosę mu serce twoje
Dla wynagrodzenia w darze.

Dorota.

Walter!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Czy-to Czarne Morze taka łakoma rzecz ażeby się o nie dobijać? pokaże się to, tylko powtórzę, mówi korespondent, że co my nazywamy czarne morze, Turcy mówią: „Kara Denic,“ a starożytni mówili: „Pontus exinus,“ co wszystko wróży że to Morze jest opłakane. Bo też w saméj rzeczy morze to liczy na 365 dni, 364 uraganów do roku, a brzegi jego zaścielają szczątki ze statków pogruchotanych, okrętów porozbijanych, nawet w środku na pełném morzu wydarza się przydybać kadłub wywrócony kotwicą do nieba a masztem do spodu. Coś tu niegodziwego w tém morzu; burze prawie dzień za dniem, zimową porą wiatry nieustanne, przesiąkłe wilgocią dmą na Konstantynopol że ani muru obsuszyć, i do drewnianych budynków trzeba się uciekać; latem obwisają grube chmurzyska nad całą przestrzenią morza, z głębi wydobywają się bałwany jak gdyby wulkanem podmorskim sadzone, buchają płomieniem i woda je nie gasi; wszystko to dziwne i straszne.

Czarne morze to przepaść; głębia niezmierna, nawet i wyspy niéma; na czémby się utrzymała? stałaby jak na chwiewnym badylu który burza co chwila zgruchotać może; a dotego głębie podnosi napływ codzienny wód rzecznych z Austryi, z Rosyi, z Turcyi, z Europy i z Azyi, a bez porównania większy niźli atmosfera na téj przestrzeni nasiąknąć wyziewów jest w stanie; więc że się morze przepełnia, a woda do równowagi ciśnie, nalegać przeto musi prądem niezmiernym, tam gdzie jest ujście, dlatego Bosfor osobliwie przy Dardanellach stawia prądy tak rwiące, że okręta tylko przemocą włamują się przez nie, a mniejsze statki, w niektórych miejscach, jak koło Bebek np. potrzeba chwytać na liny i tak przeprawiać. Obok tych niebezpieczeństw na morzu, trudno dopaść jeszcze przystępu do Bosforu samego; wystawiono wprawdzie dwie strażnice nadmorskie: „Fanar iki“ po turecku, ale ognie na nich nie świetlejsze od płomyków węglarskich po innych miejscach nadbrzeżnych zwodzą marynarza i godzą na jego licho.

Radzilibyśmy zrobić próbę nowego sposobu, jak poznawać pogodę i czas jaki nastąpi. Bierze się dwie drachmy czystéj saletry i rozciéra w pół drachmie chlorydu amoniakalnego, miesza się potém w dwóch uncyach alkoholu, i wléwa w rurkę szklanną na dziesięć cali długą i przestworu odpowiedniego. Wierzch obwiązuje się pęcherzem podziurkownym. To cały instrument. Jeźli ma być pogoda, formuje się na spodzie szkła osad, a alkohol jest czysty i przezroczysty; jeźli ma deszcz nastąpić, osad się burzy, i alkohol mętnieje; a jeźli ma nastąpić burza, znosi się cały osad na powierzchnię alkoholu i kształci kożuch pienisty. Co więcéj, że te oznaki poprzedzają burzę o godzin dwadzieścia i cztéry, i co osobliwsza że się wyrabiają z téj strony szkła zkąd burza ma przybyć. — Godziłoby się sprawdzić zwłaszcza że rzecz bardzo łatwa.

Robią teraz proch strzelczy z trocin. Moczą drobniuchne trociny w koncentrowanym kwasie siarczanym i salitrzanym, potém wypłóczą, wysuszą, i mają proch tak doskonały jak prawdziwy. Dziwna że ludzie na to odkrycie dopiéro wpadli.

Ażeby lampy nie dymiły, namoczyć gnot w occie winnym i wysuszyć. Pali się jasno i przyjemnie.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*